

Latynoafryka

Ryszard Kapuściński

Latynoafryka
Ryszard Kapuściński

Kontynenty
Zielonka 2021



Koncepcja, redakcja, korekta:

Redakcja-Kreacja

Projekt graficzny okładki, projekt layoutu, skład:

Krzysztof Grzegorz Sufa-Chrostowski

grzegorz@7kresiek.pl

+48 501453924

Fotografia na okładce:

Ryszard Kapuściński, lata 1960-67, Afryka

Copyright © 2021 by The Estate of Ryszard Kapuściński

Wydawca:

FEDOR Dariusz Fedor

ul. Klonowa 13

05-220 Zielonka

redakcja@magazynkontynenty.pl

Copyright © by „Kontynenty” 2021

Copyright © 2021 by The Estate of Ryszard Kapuściński

Wstęp „Inedita” Copyright © 2021 by Krzysztof Mroziewicz

Postowie „Trochę świata, trochę Polski” Copyright © 2021 by

Rene Maisner

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Wydanie I

Zielonka 2021

ISBN: 978-83-961233-3-6

Druk:

PRINT GROUP Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

ul. Księcia Witolda 7-9

71-063 Szczecin

Od wydawcy

Szanowni Czytelnicy!

Pięćdziesiąt lat temu, w listopadzie 1971 roku, na łamach „Kontynentów” ukazał się po raz pierwszy reportaż Ryszarda Kapuścińskiego. Był to początek wieloletniej współpracy. Postanowiliśmy uczcić tę rocznicę, przypominając wszystkie opowieści Wybitnego Reportera, które to czasopismo opublikowało, a także zapis dyskusji redakcyjnej o Afryce, w której wziął udział.

Aby obraz czasu, z którego pochodzą te teksty, był w miarę pełny i dla dzisiejszego Czytelnika bardziej klarowny, zaopatrzyliśmy zbiór we wstęp Krzysztofa Mroziewicza pt. „Inedita”, opowiadający o nieznannej bądź zapomnianej części dorobku Kapuścińskiego. Książkę zamyka posłowie Rene Maisner pt. „Trochę świata, trochę Polski”. Córka Reportera prześwietla pisarską metodę ojca, dostrzegając w tym, co publikował w „Kontynentach”, rodzaj subtelnej gry toczonej przezeń z cenzurą. Jej beneficjentami mieli być wyczuleni i umiejący czytać między wierszami czytelnicy, ale także redakcyjni koledzy, o których nigdy nie zapominał, z którymi trzymał sztamę – o czym wiemy z wielu wspomnień i świadectw.

I taką właśnie metodę – czytania między wierszami, szukania ukrytych sensów i analogii, dostrzegania metafor – polecam gorąco Wam, czytelnikom Anno Domini 2021. Bo owszem, Kapuściński pisze o Santo Domingo, o Chile, Kubie, Panamie,

Ekwadorze, Angoli czy Ugandzie; o niesprawiedliwości, głodzie, nędzy, dyktaturze, socjalistycznym wrzeniu. Pisze z pasją i erudycją. Ale temat główny zawsze jest ten sam: człowiek.

Dziś opowieści Kapuścińskiego można interpretować dwojako: jako wnikliwy, uważny zapis wydarzeń, kreślony piórem światowej sławy korespondenta i reportera, ale też jako uszlachetnione upływem czasu, zuniwersalizowane studium ludzkiej natury i nieuchronności procesów społecznych – dzieło wrażliwego i czulego ich obserwatora – pisarza.

Pamiętając o opisywanej przez Maisner metodzie Kapuścińskiego, a także o *hic et nunc* – historycznym momencie, w którym jego teksty powstają – nie wolno zapomnieć, że ta epoka miała swój język. I że będące wówczas w powszechnym użyciu słowa i pojęcia z biegiem lat, wraz ze zmianami kulturowymi, ze wzrostem świadomości społecznej, mogły zmieniać konotację z neutralnej na negatywną, a nawet nabierać nowych znaczeń. Najlepszym przykładem są występujące w „Kontynentowych” tekstach Kapuścińskiego słowa „Indianin”, „plemię” czy już w tamtym czasie uważane za poniżające (i z tego powodu brane przez redaktora starych „Kontynentów” w cudzysłów) określenie „trzeci świat”.

Ryszard Kapuściński był szczególnie wyczulony na słowa – uważność, z jaką opisywał świat, odnosić należy także do tego, jak je dobierał. Z tego też powodu, i mając na uwadze to, co napisałem o języku epoki – jako wydawca zdecydowałem, by ingerencje w oryginalny (czyli skopiowany wiernie z oryginalnych wydań „Kontynentów”) tekst ograniczyć do minimum, tzn. do poprawienia ewidentnych literówek i błędów. Definiowanie zmian semantycznych czy emocjonalnych, jakie zaszły w ciągu tych pięćdziesięciu lat, zostawmy języko- i kulturoznawcom. Ja wierzę, że wczytywanie się w „Latynoafrykę” przybliży nas nie tylko do Autora i epoki, ale da też satysfakcję obcowania z tym, co w „Kontynentach” od zawsze liczy się najbardziej – z opowieścią.

Dla porządku dodam jeszcze, że współpracę z „Kontynentami” Ryszard Kapuściński podjął niedługo po powrocie z Ameryki Łacińskiej, gdzie przez cztery lata był korespondentem PAP. Najpierw jako autor, a po paru miesiącach już na stanowisku zastępcy redaktora naczelnego; jego nazwisko pojawiło się z tym tytułem w stopce redakcyjnej pierwszy raz w numerze 11 z roku 1972, ostatni – w numerze 11 z roku 1973. Od następnego wydania występował jako członek zespołu konsultacyjnego aż do ostatniego, 10. numeru z roku 1981. We wznowionych po stanie wojennym „Kontynentach”, w marcu 1982 roku, Kapuścińskiego w stopce nie było. Na łamy wrócił w przedostatnim numerze przed rozwiązaniem pisma, w listopadzie 1989 roku, gdy Polska była już wolnym krajem.

Dziękuję

Nie byłoby „Latynoafryki” bez wsparcia życzliwych osób. Pani Alicji Kapuścińskiej dziękuję za przychyłność – i dla tej książki, i w ogóle dla „Kontynentów”, a zwłaszcza za rozmowy, dzięki którym dzisiejsze „Kontynenty” są, jakie są („Rysio, gdyby żył, na pewno by do takiego pisma pisał” – powiedziała mi, gdy dopiero wymyślałem pierwszy numer w 2012 roku; od tego momentu wiedziałem już, co i jak mam robić). Rene Maisner, córce Ryszarda Kapuścińskiego, wdzięczny jestem za tytuł, za odkrywczе posłowie, za czuwanie, by wiernie przekazać i treść, i sens, a przede wszystkim za bezinteresowną pomoc i zrozumienie. Krzysztofowi Mroziewiczowi, autorowi wstępu, za to, iż nie tylko jest przewodnikiem czułym i uważnym po nieznanym terenie wczesnej i zapomnianej twórczości Kapuścińskiego, ale że potrafi w niezrównany sposób znaleźć dla niej miejsce w kanonie pisarskim Autora. Karolinie Wojciechowskiej, sprawującej pieczę nad zdjęciami Kapuścińskiego, za dobre oko i za przekopanie się przez archiwum dla znalezienia najodpowiedniejszej fotografii okładkowej. Beacie Kaczor za prace komparatystyczne. Wreszcie – całemu zespołowi „Kontynentów” za wiarę w nasze wspólne dzieło.

Dariusz Fedor

Inedita

Krzysztof Mroziewicz

Ineditami nazwiemy te teksty Ryszarda Kapuścińskiego, które co prawda były drukowane (w „Kontynentach”), ale nie weszły lub prawie nie weszły do żadnej z jego książek ani do kanonu. Kanon ukazał się trzy razy, najpierw w Czytelniku, potem w Agorze i na koniec w Znaku. Najwidoczniej autor o niektórych tekstach zapomniał albo nie chciał przypominać, albo uważał, że to tylko trening przed olimpiadą. Odniesienie do sportu jest tu usprawiedliwione o tyle, że Kapuściński zaczynał być osobą publiczną jako bokser, natomiast jako dziennikarz już znany i szanowany dał się poznać dzięki nieprawdopodobnej wręcz skromności i pokorze ducha, dlatego możemy przypuścić, że swoje wcześniejsze od kanonu teksty uważał za wprawki, nad którymi jeszcze trzeba popracować. I tak w istocie było. Każdy jego tekst z „Kontynentów” możemy znaleźć w kanonie jako rozpisaną do rozmiarów książki opowieść, która wskazuje drogę od dziennikarstwa do literatury.

O jego bokserskiej karierze mamy w kanonie jedno tylko zdanie. Właściwie równoważnik zdania: „sukcesy w boksie”. Szkoda – boksem interesował się Leszek Kołakowski. Dlaczego? Einstein nie znosił tego pytania. Akceptował pytania „Jak?”. Kapuściński napisał zdanie o boksie w ostatnim rozdziale „Buszu po polsku”, który dał tytuł całej książce. Jest to tekst o Polsce, ale napisany w Afryce. Kończy się konstatacją, która doczekała się pieśni: „Dziwny ten świat”.

Drugi rozdział biografii po sportowym debiucie zatytułujemy „Poezja”. Kapuściński pisał schodkami Majakowskiego, ale była to jedyna kontrybucja na rzecz socrealizmu. Koledzy ze Związku Młodzieży Polskiej krytykowali go za braki tematyczne i nadmiar formy. Obiecali pomoc. Miała ona polegać na korepetycjach ze świadomości klasowej. Przydały się później, kiedy prowadził zajęcia na uniwersytecie, a jego słuchaczem był między innymi Krzysztof Pomian.

Reporter pozostał wierny poezji do końca. Jego „Notes” to zarówno wiersze, jak i notatki robione na potrzeby późniejszych tekstów, w tym lapidariów. Jego koledzy-poeci, jak Wiktor Woroszyński, byli stalinowcami. Po Październiku roku 1956 przejrzeni na oczy i stali się zaciekłymi antykomunistami. Kapuściński nie był stalinowcem. Nie było go z czego rozliczać ani wtedy, ani pod koniec życia. Był człowiekiem lewicy zafascynowanym doświadczeniami Ameryki Łacińskiej, które polegały na próbach uwolnienia się od kurateli Wielkiego Brata, czyli USA, oraz budowy społeczeństwa sprawiedliwego bez zależności od Moskwy.

Zbiór ineditów zaczyna się jak wszystko w jego życiu od poezji. Tom „Wiersze zebrane” wydany przez Marka Kusibę i Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłod-

dowskiej oraz Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie nie zawiera schodków Majakowskiego. Widocznie były za młode.

Na marginesie – w kanonie zabrakło trzech tomów, z którymi nosił się całe życie, jak García Márquez z „Nie ma kto pisać do pułkownika”. Pierwszy miał być poświęcony pokoleniu zetempowców z Nowej Huty, drugi – portowemu miastu pięciu mórz – Pińskowi, a trzeci – podróży Stanisława Ignacego Witkiewicza i Bronisława Malinowskiego do Kolombo i dalej na Wschód. Zabrakło, bo ich nie napisał. Pozostawił tylko wstępne, niewyraźne ślady w „Lapidariach”.

Rozdział trzeci to początki pracy dziennikarskiej. W 1951 redakcja „Sztandaru Młodych” wysłała go na Festiwal Młodzieży i Studentów do Berlina, miasta wtedy jeszcze nieprzegrodzonego, ale już sygnalizującego niezadowolenie. To była pierwsza podróż zagraniczna Kapuścińskiego. Po tej podróży nie pozostał żaden ślad. W sześć lat od końca wojny trudno było pisać o budowie socjalizmu przez niemiecką klasę robotniczą. Zresztą „Sztandar” potrzebował wtedy przede wszystkim materiałów krajowych. Dodatek kulturalny gazety, „Przedpole”, wydrukował dwukolumnowe sprawozdanie Kapuścińskiego z ogólnopolskiej narady młodzieżowego aktywu kulturalnego. Temat nie do udźwignięcia. Kapuściński jakoś sobie z tym poradził, nie używając ani razu terminów „socjalizm” i „kierownicza rola partii”. W tamtych czasach cud.

W rozdziale czwartym zabiera nas do Nowej Huty. Napisał, jak jest. Błoto, woda, chamstwo, łajdactwo, nędz, kurestwo. To też była prawda o budowie socjalizmu.

Gdy tekst się ukazał, naczelna „Sztandaru”, która za to wyleciała, zdążyła była jeszcze przed utratą stanowiska dać Kapuścińskiemu paszport i bilet do Azji, żeby go tam schować przed karą. Tymczasem do Polski przybył premier Indii, Jawaharlal Nehru. Dziekan korpusu dyplomatycznego, ambasador ZSRR oczekujący wraz z kolegami na lotnisku, rzucił okiem na dostojnego gościa w stroju kongresowym po hindusku i powiedział: „*Priletiał w kaliesonach, czto podczerknut’ intymny charakter odnoszenij*”¹. Nehru namówił premiera Cyrankiewicza, żeby ten wysłał polskich dziennikarzy do krajów Trzeciego Świata. Kapuściński trafił do Indii. Napisał reportaż wierszem:

*Jogin Ramamurti
każe zakopać się w grobie
zostanie tam tydzień
lekarze zaświadczą, że nie ma oszustwa...*

Reszta w książce Kusiby na stronie 70. Wydane, a niewydane. Jest w tomie poezji, także kanonicznym. Do żadnego zbioru reportaży nie weszło. Zapomniane są też jego reportaże z Afganistanu (o kopalni ziemi na przykład) i Japonii („Obok nieba”). Szkoda, że nie drukował w „Kontynentach”, których jeszcze nie było. Znalazłyby się w tym tomie. Może trzeba zredagować takie wydanie z udziałem Zojki Kapuścińskiej (Rene Maisner), która najlepiej wie, które teksty Ojciec by dziś zaakceptował, jak akceptował je do druku wtedy. Byłyby to „Teksty zebrane”.

¹ Tłum.: Przyleciał w kalesonach, żeby podkreślić intymny charakter stosunków

Rozdział kolejny. Kapuściński wraca do Polski. Rozprawa władzy z „Po prostu”. Koniec nadziei październikowych. Powstaje „Polityka”. Marian Turski (jedenaste przykazanie: „Nie bądź obojętny”) ściąga do nowego tygodnika młodych dziennikarzy ze „Sztandaru” – Daniela Passenta i Ryszarda Kapuścińskiego. Ten pierwszy napisze o drugim, że Rysiek zrobi światową karierę. Nie byle jaka to przepowiednia, zważywszy że jej autor też liczy się w świecie. Nawiasem mówiąc, w kręgach dziennikarskich, gdzie dobre słowo o koleźce należy do rzadkości, Wojciech Giełżyński mówił, że Kapuściński to największy pisarz polski po Mickiewiczu, a Wiesław Górnicki, że „przerasta nas wszystkich o głowę”.

„Busz po polsku” to reportaże z Polski. Nie ma w nich największego *ineditum* – tekstu o Nowej Hucie. I dialogu dwóch robotnic z Woli, który rozwścieczył Władysława Gomułkę (cytuję za Mieczysławem F. Rakowskim):

- A ty jak dajesz?
- Ja? Na stojaka w bramie.

I zaraz potem wyprawa do Afryki. „Czarne gwiazdy”. Gdyby wszystkie teksty Kapuścińskiego o Afryce zebrać w jednym tomie, byłoby to coś na kształt „Inside Africa” Johna Gunthera. Tu już mamy do przejrzania roczniki „Kontynentów”. Kapuściński wyjechał z PAP do Dar es Salam zakładać placówkę korespondenta zagranicznego. Był rok 1962 – za wcześniej na „Heban” i „Herodota”. Agencja otwierała placówki w najważniejszych stolicach świata. Pisali wszystko, a drukowano to, co w świecie reglamentowanej informacji nie drażniło decydentów. A drażnić mogło wszystko. Zwłaszcza teksty o demoludach. Powstał „Biuletyn Specjalny PAP”, w którym – na powielaczu – w kilkudziesięciu eg-

zemplarzach ukazywało się to, co najciekawsze, najczęściej z podtytułem: „Nie do publikacji w prasie”. „BS” rozwożony był do najważniejszych domów w Polsce. W jednym z wydań ukazała się analiza Kapuścińskiego poświęcona Algierii po zamachu Bumedienu. Wybuchła awantura, bo tekst nie zgadzał się z wnioskami jakiejś znawczyni Afryki pisującej do komunistycznej gazety „Unita”. Okazało się, że raczej miał polski dziennikarz, a nie ciotka rewolucji, ale na początku wyglądało na to, że Kapuściński zostanie odwołany.

W jego afrykańskich tekstach sporo jest o socjalizmie w rozumieniu prezydenta Tanzanii, Juliusa Nyerere. Jest też o kapitalizmie. Ale słowa te co innego znaczą i znaczą w Afryce. Nyerere mówił, że drogą rozwoju Afryki może być tylko socjalizm. Jego Tanzania leżała daleko od Moskwy, daleko od Pekinu. Bliżej była Hawana. Che Guevara uczył kongijskich partyzantów, jak się robi okopy. Nie chcieli, bo myśleli, że to kopanie grobów dla siebie. Guevara jako szef banku centralnego Kuby na szczycie niezaangażowanych w Algierze żądał, aby współpracę ekonomiczną opierać na wymianie barterowej. Bez pieniędzy. Uważał, że pieniądze trzeba zlikwidować. Kiedy wrócił z obchodów rocznicy rewolucji październikowej w Moskwie, na witającego go na lotnisku Fidela Castro rzucił się niemal z pięściami. „*Yo no quiero esta mierda para mi pueblo*”² – krzyknął, nazywając tak system radziecki. *Mierda* – gówno. Od tej pory Che był w Polsce zakazany pod każdym względem. Kapuściński zakazy ominął, przekładając „Dziennik z Boliwii”.

2 Tłum.: Nie chcę tego gówna dla mojego ludu

Afrykański tom „Czarne gwiazdy” powstawał tak, jak powstał teraz tom „Latynoafryka”. Kapuściński miał już kilka tekstów drukowanych w „Polityce” i PAP, ale znowu wysłali go do Afryki. Wydawnictwo Czytelnik pozbiierało te fragmenty i ułożyło tom reportaży z niedokończonych dwu tomów o Nkrumahu i Lumumbie, o Ghanie i Kongu. Zamierzonych monografii nigdy nie napisał, natomiast po dziełach o Cesarzu i Szachu myślał o dłuższym tekście na temat Amina. Ponieważ „Cesarza” zaczynano czytać metaforycznie, jako opowieść o dworze i władcy, także w Polsce, pomysł z Aminem wydał mu się nietrafny, bo w Polsce nie było ludożerców. Bał się, że krwio pijcy Amina ugotują go i zjedzą. Dziś takiego zdania nie tylko nie można napisać, ale nawet pomyśleć. Ale Kapuściński by sobie poradził.

Kolejna wyprawa jego życia to podróż do Azji radzieckiej. „Kirgiz schodzi z konia” był w tamtych czasach najlepszym polskim *sovieticum*. W pierwszym wydaniu jest więcej tekstu gruzińskiego niż w kanonie. Brakuje teraz kilku rozdziałów, których nieobecność została w pierwszym wydaniu zaznaczona. Brakuje też w kanonie puenty gruzińskiego rozdziału. Mowa tam była o pomniku pewnego Gruzina (dziś Gruzini nazywają go Osetyjczykiem). Kapuściński napisał: „Mówią o nim, że popełniał błędy”. Ot, takie małe *ineditum*.

I wreszcie Ameryka Łacińska i teologia wyzwolenia w jednym zdaniu, tytułowym: „Chrystus z karabinem na ramieniu”. Gustavo Gutiérrez, ksiądz z Peru studiujący na Katolickim Uniwersytecie w Louvain, przyłączył się do buntu studentów roku kontestacji i kontrkultury 1968. Napisał

manifest „*Teología de la liberación*”, który stał się głosem młodych duchownych Ameryki Łacińskiej. Gutiérrez wyjaśnił, że do opisu sytuacji w fawelach, *barrios nuevos* czy jak tam jeszcze nazywano po hiszpańsku slumsy Ciudad de Mexico, Limy, Buenos, Caracas czy Bogoty trzeba używać aparatu socjologicznego. W Watykanie uznano, że socjologia to marksizm, a marksizm to komunizm. I tu zaczęła się walka księży z hierarchami. Jeden z nich, Camilo Torres, który chrzczył dzieci Garcíi Márqueza, wygłosił kazanie, zarzucił karabin na komżę i wyprowadził wiernych w kolumbijskie góry. Wkrótce zginął. Ksiądz Degollado założył Legion Chrystusa, który miał walczyć z teologami wyzwolenia. Ślady tego wszystkiego zachowały się w świadomości i pamięci Kapuścińskiego, który pojechał do Boliwii śladami Che Guevary i tam pojmany wieziony był na śmierć, ale uratował go porucznik, który spił kata i pozwolił pisarzowi uciec. Reporter miał słabość do oficerów niższej rangi – porucznika Turciosy Limy w Salwadorze i porucznika Omara Torrijosa w Panamie. Obydwaj przeszli z armii na stronę partyzantów, których wcześniej zwalczali. Miał też słabość do lekarzy – Guevary, Allendego i Hugona Spadafory.

Ale epopeja latynoamerykańska przetrwała Kapuścińskiego i znalazła swoje odbicie w dwu książkach Vargas Llosy. Śledził on uważnie, co się dzieje w otoczeniu Gabo (Garcíi Márqueza) i wokół Nagrody Nobla. Kiedy Kapuściński zyskał już światową sławę, Gabo zaprosił go na zajęcia z reportażu dla młodych dziennikarzy Ameryki Łacińskiej. Vargas musiał przeczytać „Dlaczego zginął Karl von Spreti” (o Gwatemali) i „Człowiek boi się człowieka” (o Dominikanie, jest w niniejszym zbiorze jako „Śmierć przestała być sensacją”). Musiał przeczytać, ale musiał

przede wszystkim napisać „Burzliwe czasy” (o Gwatemali) i „Święto kozła” (o Dominikanie). Są to genialne, zwłaszcza druga, analizy mechanizmu władzy. Wielkiego Mechanizmu, jak by napisał prof. Jan Kott. Mechanizm władzy w Ameryce Łacińskiej zaczyna być budowany przez dyktatora albo prezydenta, który szybko staje się dyktatorem. Silnikiem mechanizmu jest strach, a towarzyszy mu cisza. Dyktator zostaje obalony, ale systemu nie można obalić, on działa nadal. Tego nie ma ani w Afryce, ani w Europie, ani w Azji. Kapuściński wszędzie podglądał systemy władzy, ale w Ameryce Łacińskiej obejrzał je w postaci klinicznej. Metodę przekazu nazwałbym reportażem eseizowanym. Wcześniej była poezja eseizowana. Vargas zrobił z tego prozę eseizowaną. Kapuściński wrócił do analiz systemu, kiedy przyszło mu opisywać rozpad ZSRR w „Imperium”. Tam pojawia się zdanie, które mówi wszystko: „Najważniejszym produktem radzieckiego przemysłu metalurgicznego był drut kolczasty”.

„Kontynenty” dają część dorobku pisarza mało znaną. Poszukawszy dokładniej, zwłaszcza w kulturalnych pismach niszowych, a także w archiwach radia i telewizji, znaleźlibyśmy to, co trzeba włączyć do nieistniejących jeszcze „Tekstów zebranych”. Polska jest nadal nieodkrytym kontynentem Kapuścińskiego. Krajem latynoeuropejskim, który trzeba opisywać reportażem latynoamerykańskim – analogowym, a nie anglosaskim – cyfrowym.

Krzysztof Mroziewicz

**Ameryka
Łacińska**

Santo Domingo
**Śmierć przestała
być sensacją**

„Kontynenty” nr 11/1971

10 milionów mieszkańców wyspy Santo Domingo³ – wchodzącej razem z Kubą, Jamajką i Puerto Rico w skład Wielkich Antyli – należy do najbardziej nieszczęśliwych społeczności świata.

Obszar tej wyspy podzielony jest między dwa państwa: Republikę Dominikany i Republikę Haiti. W obu krajach rządzą brutalne, ponure dyktatury, utrzymujące się przy władzy dzięki temu, że:

- 90 procent ludności żyje na dnie nędzy i ciemnoty, stanowiąc pół niewolniczą, pół feudalną masę, zdolną do sporadycznych buntów, ale niezdolną – czy raczej nie mającą warunków – do prowadzenia konsekwentnej walki politycznej;
- wszelka, lepiej czy gorzej zorganizowana, opozycja z lewa jest systematycznie likwidowana przez reżim metodą zabójstw politycznych (jedynym

³ Santo Domingo, San Domingo czy Hispaniola to nazwy historyczne. Współcześnie na określenie całej wyspy używa się nazwy Haiti.

ratunkiem jest emigracja, toteż bez większej przesady można powiedzieć, że niemal cała prawdziwa opozycja wobec reżimu panującego w Haiti znajduje się na emigracji);

- w wypadku, kiedy dyktaturze grozi upadek i otwiera się perspektywa dojścia do władzy rządu demokratycznego i najwyczejniej w świecie rządu ludzkiego, wówczas reaguje Waszyngton, zaczyna się zbrojna interwencja Stanów Zjednoczonych. US Marines wchodzą do akcji i wprowadzają swoje porządki. I tak Haiti znajdowało się pod zbrojną okupacją USA przez blisko dwadzieścia lat (w latach 1915-1934), a Dominikana najpierw przez osiem lat (1916-1924), potem ponownie od roku 1965.

Na dobrą sprawę te dwa kraje są w naszym wieku XX czymś w rodzaju prywatnej kolonii piechoty morskiej USA. Wystarczy spojrzeć na historię najnowszą Dominikany: w latach 1916-1924 zbrojna okupacja US Marines, następnie w latach 1930-1961 krajem rządzi oficer US Marines Leónidas Trujillo, potem w 1965 roku następuje nowa interwencja US Marines i od roku 1966 władzę w Dominikanie sprawuje najbliższy zaufany Trujillo – Joaquín Balaguer⁴, postawiony na stanowisko prezydenta przez tychże US Marines.

Wszystko dlatego, że w strategii Pentagonu Santo Domingo to wrota do Morza Karaibskiego, które tenże Pentagon traktuje jak jezioro wewnętrzne Stanów Zjednoczonych.

⁴ Patrz: Słowniczek ważniejszych postaci, organizacji itp. na końcu książki.

Zgodnie z tą strategią Kuba jest komunistyczną enklawą wewnątrz terytorium USA.

Drugą cechą historii Dominikany jest to, że tylko niewielu prezydentów umarło śmiercią naturalną:

Ulises Heureaux – zamordowany w 1899 roku.

Ramón Cáceres – zamordowany w 1911 roku.

Rafael Leónidas Trujillo – zamordowany w 1961 roku.

Kilku innych, mniej znanych, też skończyło w ten sposób. W międzyczasie prezydent, nim sam padnie od kuli zamachowca, stara się posłać do grobu tylu przeciwników, ilu zdoła, ilu zdąży. Obliczają, że prezydent Haiti, François Duvalier, wysłał na śmierć 20 tysięcy ludzi. Podają taką okrągłą liczbę, bo nikt dokładnie nie doliczy się ofiar. Nie gorsze wyniki osiągnął w swoim czasie sąsiad Duvaliera, prezydent Dominikany – Leónidas Trujillo. Trujillo miał ten zwyczaj, że ścigał przeciwników po całym świecie. Zatrudniał w tym celu dużo ludzi. Jego szef policji, generał Arturo Espaillat, opowiada w swojej książce „Trujillo: Anatomía de un dictador”, jak to jeździł po świecie, a to przebrany za chłopca, a to za księdza, i mordował wrogów prezydenta.

„Pewnego razu – wspomina Espaillat – ustaliliśmy, że w Gwatemali pewien komunista nazwiskiem José Pérez jest zamieszany w spisek przeciwko Trujillo. Po bliższym zbadaniu sprawy okazało się, że w Komunistycznej Partii Gwatemali jest aż trzech ludzi o tym nazwisku. Który z tych trzech jest zamieszany? Którego z nich trzeba zabić? Problem ten został rozwiązany w prosty sposób: wszyscy trzej zostali zgładzeni”. Można powiedzieć, że ten incydent, zresztą bez znaczenia, oddaje istotę tego, czym jest polityka dżungli w Ameryce Łacińskiej. Sam Espaillat, autor tej książki, niedługo po jej napisaniu został zamordowany w Ottawie (wrzesień 1967 roku). Od tego czasu niewiele się

zmieniło. W ubiegłym roku rozmawiałem w Meksyku z młodym człowiekiem nazwiskiem Maximiliano Gómez. Gómez był w Dominikanie działaczem opozycji, siedział w więzieniu i został uwolniony w zamian za attaché wojskowego USA, którego porwali partyzanci. Przyleciał do Meksyku, potem odleciał do Europy, bo mówił „Chcę jakoś wrócić do kraju i walczyć”. Niewiele dali mu życia: czytam właśnie w gazecie, że znaleźli go w hotelu w Brukseli z kulą w głowie. Jeżeli gazety piszą tu o Dominikanie, wówczas tytuły tych informacji są zwykle takie: „Fala krwi płynie przez Dominikanę” („El Día”, 18.04.1971) albo „Śmierć rządu Dominikaną” („Excelsior”, 11.07.1971). Ale nikt na te doniesienia nie reaguje, wielu ludzi nawet ich nie czyta.

„Śmierć przestała być wiadomością” – powiedział mi zmarłony kolega z popołudniówki „Ovaciones”, która latami robiła sobie duży nakład dzięki najlepszym opisom śmierci, jakie można było znaleźć w gazetach meksykańskich. „Dzisiaj bardziej biorą wiadomości o eksplozji demograficznej” – powiedział ten kolega. Okazuje się, że ludzie przejmują się teraz nie tym, że ktoś gdzieś tam ginie, ale że tu, gdzie żyją, będzie ich za dużo i że z tego powodu nie znajdą pracy, w szkole nie znajdą miejsca dla dziecka, w szpitalu nie znajdą łóżka i w końcu poduszają się na ulicy, taki będzie ścisk.

Co godzina na świecie rodzi się 8,5 tysiąca ludzi. Co roku światu przybywa 74 miliony mieszkańców. To są dane z lipcowego biuletynu Światowego Biura Statystyki Demograficznej (Waszyngton, 1971). Teraz jest nas 3,7 miliarda, za piętnaście lat będzie nas 5 miliardów albo i więcej. „Ovaciones” uważa, że w dzisiejszych czasach to jest wiadomość z dreszczem, więc zamieszcza ją na pierwszej stronie – wołową czcionką.

I ludzie kupują gazetę.

Za dużo chętnych do jedzenia, za dużo chętnych na uczelnie, za dużo chętnych do władzy, za dużo chętnych do życia.

Człowiek boi się dziś drugiego człowieka, nawet nie dlatego, że go tamten zabije, ale znacznie powszechniej i częściej boi się, że mu tamten zajmie miejsce.

Skoncentrowany strach śmierci został zastąpiony rozrzedzonym strachem braku miejsca.

„Fala krwi – pisze »Excelsior« – która rozpoczęła się w Dominikanie interwencją USA w 1965 roku, pociąga dziś za sobą średnio dwóch zabitych dziennie”. Dwie ofiary reżimu prezydenta Balaguera znajdowane każdego dnia na ulicy, na polach podmiejskich, w rowie przydrożnym. Kto był w Santo Domingo⁵, wie, jak często serie z automatu budzą ludzi po nocach. Ale często nie słychać nic. Kogoś ubywa, ktoś już nie wróci.

„Pracujemy bez wytchnienia, żeby skończyć z terrorystami” – powiedział szef policji Dominikany, generał Enrique Pérez y Pérez. Tak to nazwał, tych dwóch dziennie.

Zapytany, czy nie można jakoś zatrzymać tej maszyny śmierci, generał odpowiedział, że nie można. „Nie można – oświadczył Pérez y Pérez – bo żeby utrzymać w karchach terrorystów, musiałbym umieścić po jednym policjancie w każdej rodzinie i na każdym rogu ulicy postawić patrol, a na to nas nie stać” („El Día”, 12.07.1971).

I trudno generała nie rozumieć.

Po prostu taka jest sytuacja. Dalej reżim będzie mordować dwóch ludzi dziennie, a jeśli przyjdzie potrzeba, będzie mordować więcej.

5 Santo Domingo – stolica Dominikany.

Vorster John, właśc. Balthazar Johannes Vorster, B.J. Vorster (ur. 13 grudnia 1915 w Jamestown, Południowa Afryka, zm. 10 września 1983 w Kapsztadzie, Południowa Afryka) – południowoafrykański polityk, jeden z czołowych działaczy afrykanerskiej Partii Narodowej; podczas II wojny światowej działacz faszystowskiej organizacji Ossewa Brandwag, sprzeciwiał się przystąpieniu Związku Południowej Afryki do wojny po stronie Wielkiej Brytanii; 1942–60 internowany; premier RPA w latach 1966–1978; prezydent w latach 1978–1979.

W

Weil Simone Adolphine (ur. 3 lutego 1909 w Paryżu, zm. 24 sierpnia 1943 w Ashford w Anglii) – francuska filozofka, mistyczka oraz aktywistka polityczna żydowskiego pochodzenia. Thomas Mer-ton pisał, że „Simone Weil była gnostyczką i katoliczką, żydówką i albigensem, mediewistką i modernistką, racjonalistką i mistyczką, buntowniczką i świętą”.

Z

Zapata Emiliano (ur. 8 sierpnia 1879 w Anenecuilco, Meksyk, zm. 10 kwietnia 1919 w Morelos, Meksyk) – meksykański rewolucjonista, przywódca chłopskiej partyzantki w czasie rewolucji meksykańskiej 1911–1917, uważany do dziś za bohatera narodowego.

Spis treści

Od wydawcy	7
Inedita Krzysztof Mroziewicz	11
Ameryka Łacińska	21
Santo Domingo Śmierć przestała być sensacją	23
Chile Zdobywanie terenu	31
Kuba Dwadzieścia lat później	39
Panama Krzyże na cmentarzach świata	45
Ekwador Narodziny „el dorado”	55
Kuba Strach pałaców	63
Ameryka Łacińska – ciągle w marszu	67
Afryka	77
Angola W czas wojny	79
Znowu w Ugandzie Zakopane czaszki	87
Varia	105
Czy światu grozi głód Bariery „zielonej rewolucji”	107
Afryka Dwadzieścia lat niepodległości	115
Trochę świata, trochę Polski Rene Maisner	159
Słowniczek ważniejszych postaci, organizacji itp.	175

